

2

GDYŃSKI PERIODYK
KULTURALNY

C Z E R W I E C 2 0 1 7

ERA
ART

Stowarzyszenie
Promocji
Artystów
Wybrzeża

ISSN 2544-2066

COLLAGE

K U L T U R Y

MUZEUM II WOJNY
ŚWIATOWEJ
W GDAŃSKU

EKO-MATERIA 2017

WYSTAWA
W BERLINIE



Fot. Teatr Miejski w Gdyni

PRAWDA
– komedia małżeńska

Teatr Miejski w Gdyni

Wystawa fotografii Eugeniusza Nużyńskiego

IMPRESJE MORSKIE

w „Tyglu” od 22 czerwca 2017 r.



Eugeniusz Nużyński

– fotograf, kulturoznawca, absolwent Uniwersytetu Łódzkiego. Nauczyciel fotografii w Trójmiejskiej Szkole Fotografii w Gdyni - Orłowie. Członek Związku Polskich Artystów Fotografików.

Jego główne zainteresowania artystyczne koncentrują się wokół fotografii reporterskiej. Dokumentacja przemian kulturowych, którą prowadzi od ponad 35 lat, zaowocowała 8 dużymi cyklami fotograficznymi. Zdjęcia z wielokrotnie nagradzanego cyklu „Rybacki z Orłowa”, znajdują się w zbiorach Muzeum Miasta Gdyni. Laureat ponad 100 nagród i wyróżnień, swoje zdjęcia prezen-

tował na ponad 250 wystawach indywidualnych oraz zbiorowych, a tak że w wielu czasopiśmie, m.in. w „Dzienniku Bałtyckim”, „Morzu”, „Pomeranii”, „Tygodniku Solidarność”. Wystawa „Pomorskie porty i przystanie rybackie” została zrealizowana dzięki Stypendium Marszałka Województwa Pomorskiego.

Zdjęcia prezentowane na wystawie to bardzo indywidualnie potraktowana tematyka marynistyczna. Obrazy fotograficzne, zbliżone w nastroju do impresjonistycznego malarstwa, ukazują porty i przystanie rybackie pomorskiego wybrzeża od Łeby, aż po Kąty Rybackie.

Kultura, co właściwie znaczy to pojęcie?

Trzymacie Państwo właśnie w ręku drugi numer pisma „Collage”, które – mamy nadzieję – będzie ukazywało się co kwartał. Chcemy, aby „Collage”, był tygłem kultury oraz naszego sposobu bycia i życia, wydarzeń wielkich i małych.

Nie wiemy, czy ktoś zastanowił się kiedyś, skąd się wzięło i co oznacza pojęcie „kultura”, tak powszechnie używane zarówno w dobrym, jak i złym znaczeniu tego słowa. Otóż – termin ten pochodzi od łacińskiego słowa „colere”: uprawa, dbanie, pielęgnowanie. Gdy Rzymianie mówili „cultus agri”, myśleli o uprawianiu roli, hodowli zwierząt, czy o czymś, co pozwalało na przystosowanie i przekształcenie przyrody do potrzeb człowieka. Do dziś mówimy przecież: kultura rolna, mikroorganiczna, bakteryjna itp. Dopiero Cyceron w dziele „Disputationes Tusculanae” użył sformułowania „cultura animi”, co dosłownie znaczyło uprawę umysłu, a posłużyło mu do określenia pierwszej w literaturze koncepcji filozofii. I tak, od czasów Cicerona pojęcie „kultura” zaczęło oznaczać doskonalenie, zdobywanie wiedzy, kształcenie, sposób bycia, życia. Kultury mogą być społeczne, polityczne, fizyczne, materialne, duchowe. Także termin ten stosowany

jest przy określaniu kultury słowa, sztuki, plastyki, mody, tańca, kina, sposobu myślenia, literatury, słowem w wyrazie „kultura” mieści się bezmar treści, a każde pojęcie stanowi collage właśnie, z którego każdy czerpie to, co mu najbardziej odpowiada.

Gdyńskie stowarzyszenie ERA ART, które jest wydawcą kwartalnika „Collage”, zamierza otworzyć się na każdy rodzaj kultury obecnej w naszym życiu. W Gdańsku, Gdyni i Sopocie codziennie dzieje się coś ciekawego, co warto utrwalić na kartach wydania papierowego, do którego Czytelnik będzie mógł wrócić po latach. Wszelkobecna elektronika ma jedną wadę: uzależniona jest od dostępu do prądu. Aż strach pomyśleć, co by się stało, gdyby na świecie nagle zabrakło baterii i prądu.

„Collage” przeznaczony jest dla każdego Czytelnika, w każdym wieku. Będziemy starali się mówić nie tylko o sukcesach, lecz także o potrzebach kulturalno-społecznych, a tu tematów nie zabraknie. Zapraszamy do lektury obecnego wydania. Mamy nadzieję, że Czytelnicy znajdą w nim dużo ciekawych i kontrowersyjnych tematów.

Zespół redakcyjny

Co ciekawego w numerze?

Polityka i historia, czyli „polski punkt widzenia”?	2
Nie lubił opowiadać o sobie	4
Po 100 latach, wdzięczni gdynianie...	6
Święto polskiego filmu w Gdyni	7
Sukces zapisany w dziełach sztuki	8
Notatki z wystawy	10
Pasja do natury	12
Z wiatrem... na Darze Pomorza	14
Raport po R@Porcie	15
Nie muszę już zabiegać, udowadniać, budować kariery	16
Upiór współczesności	18
Sztuka ponad podziałami, kultura porozumienia	19
Władza pań bileterek w gdyńskim Teatrze Muzycznym...	20



Wydawca:

**Stowarzyszenie Promocji Artystów
Wybrzeża ERA ART**

81-437 Gdynia, ul. Wojewódzka 7

e-mail: galeria.era-art@wp.pl

www.eraartprofile.pl

Redaktor naczelna: **Ewa Grunert**



druk wykonała drukarnia: **MEDIAKOLOR**
ul. Podchorążych 11 | 09-407 Płock | www.mediakolor.pl



Projekt graficzny **CAMELEON Artur Tarasiewicz**
www.cameleon-design.pl

Polityka i historia, czyli „polski punkt widzenia”?

Schodami lub windą z parkingu 14 metrów w głąb - tam zaczyna się wejście do labiryntu, na wystawę w Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Ekspozycja ta budzi polityczne i historyczne emocje. Czy spór merytoryczny zakończyła wymiana zarządzających placówką?

ALINA KIETRYS

W ciągu jednego dnia muzeum może odwiedzić ponad tysiąc osób. W czasie politycznej burzy i ostrego naporu aktualnej władzy na tę placówkę przy Placu Władysława Bartoszewskiego w Gdańsku czekało się na wejście do muzeum w kolejce po kilka godzin. Przez dziesięć pierwszych dni odnotowano piętnaście tysięcy zwiedzających. Tak polityka przysłużyła się historii i kulturze. I to nieza-

Nieprawdą jest, że historycy wszystko wiedzą o II wojnie (...) dlatego potrzebujemy nie tylko opracowań o tej wojnie, ale także wystaw, multimediiów, które pozwoliłyby na przekazanie tego, co wiemy o tym kataklizmie.

leżnie od intencji - muzeum i ekspozycja odniosły autentyczny sukces frekwencyjny. Zwiedzali je nie tylko gdańszczanie i przyjezdni z różnych stron Polski, lecz także Skandynawowie, Brytyjczycy, Niemcy, Rosjanie.

Kilkanaście sal, a w nich wojenny i cywilny świat: polski i europejski, ale również azjatycki z dramatycznych wojennych czasów, z okresu rodzenia się groźnych ideologii i terroru XX wieku: faszyzmu, stalinizmu, komunizmu. Okrutny i przerażający

czas niszczenia ludności cywilnej, która w wojenne lata doświadczała niewyobrażalnej gehenny.

Pierwszy dyrektor Muzeum II Wojny Światowej prof. dr hab. Paweł Machcewicz przez osiem lat wraz ze współpracownikami i radą programową złożoną z wielce utytułowanych osób tworzył tę placówkę. Ministerstwo zarzuca tej ekipie niegospodarność finansową, m.in. przedłużenie czasu budowy muzeum i wprowadzenie zmian w projekcie (zaplecze hotelowo-restauracyjne i pasaż handlowy). Zarzuca również, a może przede wszystkim, złą, niewłaściwą politycznie koncepcję wystawy na otwarcie muzeum. Te opinie na podstawie scenariusza wystawy przygotowali trzej historycy jeszcze w marcu 2016 r.: prof. Jan Żaryn - senator PIS, dr hab. Piotr Niwiński z Uniwersytetu Gdańskiego - badacz losów żołnierzy wyklętych i publicysta Piotr Semka. Zarzucano tej ekspozycji w pewnych punktach lewicowo-liberalny punkt widzenia i pseudouniwersalizm, podkreślano, że za mało na tej wystawie hartowania człowieka w czasie wojny, brak ukazywania najszlachetniejszych pobudek, patriotyzmu, obywatelskości, poświęcenia dla innych, a także punktowano historyczne braki, np.: dotyczące powstania warszawskiego i rzezi na Woli, wątków związanych z ludobójstwem Polaków na Wołyniu czy marginalnego potraktowania obrony Westerplatte a także zbyt mało miejsca poświęcono czynowi zbrojnemu polskiego wojska w trakcie wojny oraz zbyt wątpliwie przedstawiono narrację dotyczącą żołnierzy wyklętych. Te recenzje ujawniono dopiero w lipcu 2016 r. Skrytykowany został również kształt przyszłego muzeum przez samego Jarosława Kaczyńskiego w roku 2013 r.: zmienimy kształt Muzeum II Wojny Światowej tak, żeby wystawa w tym muzeum wyrażała polski punkt widzenia.

W styczniu 2017 roku odbyła się w Gdańsku ważna debata historyków polskich i zagranicznych nad sposobem prezentowania w miarę pełnego obrazu II wojny jako konfliktu politycznego, ideologicznego, militarnego. Uznano, że ważny jest kontekst europejski i światowy. Podkreślano, że II wojna jest to historia ponadnarodowa, która czci heroizm i poświęcenie ludności cywilnej, a nie tylko armii.



Fot. Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

Minister Piotr Gliński nie widział wystawy za czasów dyrektacji prof. Machcewicza, pomimo wysyłanych zaproszeń. Tak toczyła się walka o „rząd dusz” nad muzeum i nad historią Polski XX wieku prezentowaną w europejskich kontekstach.

Minister kultury i dziedzictwa narodowego, kiedy tylko Naczelny Sąd Administracyjny uchylił decyzję niższej instancji i dał mu szansę manewru, natychmiast powołał na p.o. dyrektora Muzeum II Wojny Światowej dr. Karola Nawrockiego, historyka związanego z gdańskim IPN, znanego tematyki żołnierzy wyklętych i dziejów pomorskiej piłki nożnej, zainteresowanego również dziejami przestępczości zorganizowanej w PRL.

Błyskawiczna wymiana dyrektora muzeum odbyła się w stylu znanym sprzed lat. Słowem, nowy dyrektor poinformował starego, że od dzisiaj on tu rządzi. Pierwsza konferencja prasowa zwołana na gorąco tego samego dnia po południu była wręcz „magiczna”: nowy dyrektor z wyraźnie pozorowanym spokojem odpowiadał na pytania dziennikarzy. Długością konferencji zarządzał (choć się nie przedstawił) nowy człowiek dyrektora, a ubezpieczał dr. Nawrockiego prawnik pilnie słuchający odpowiedzi. Po czym dyrektora p.o. porwali fotoreporterzy, by dobrze zapoznać na tle głównego budynku i w atrakcyjnych wnętrzach przygotowanych przez poprzednika. Zaplecze polityczno-historyczne Donalda Tuska, bo tak postrzegany był dyrektor Paweł Machcewicz, musiało zniknąć natychmiast, choć nowy dyrektor opowiadał dziennikarzom o rzekomych propozycjach pracy w muzeum składanych prof. Machcewiczowi, czego były dyrektor nie potwierdził.

Dyrektor p.o. dr Karol Nawrocki wygłosił pierwszego dnia urzędowania znamienne zdania: *Nie ma chyba na świecie muzeum, które nie zmieniałoby swojego kształtu (...) W świecie nauki obowiązuje otwartość na opinie, recenzje, w związku z czym ustalenie narracji, że nic nie można zmienić jest niestosowne. I dodał: historię przeżywa się raz, a pisze się wiele razy.* Te prawdy można różnie interpretować. Choć nowy dyrektor nie wyznaczył terminu „modyfikacji wystawy”, obiecał jedynie, że obejrzy ekspozycję, której nie znał.

Przygotowana wystawa mieści się na ponad 5 tysiącach metrów kwadratowych w 18 sekcjach tematycznych. Ma 400 gablot, w których umieszczono 2,5 tysiąca eksponatów, a 250 stanowisk multimedialnych cieszy szczególnie wnikliwych odwiedzających, bowiem można przejrzeć tam około tysiąca stron archiwalnych dokumentów i obejrzeć cztery godziny materiałów filmowych, w tym unikatowe o polskich lotnikach biorących udział w bitwach o Anglię. Zostało jeszcze w muzeum co najmniej 1000 metrów kwadratowych wolnej przestrzeni, którą można przeznaczyć na inne wystawy, nie zmieniając od razu tej, która jest dziełem poprzedniej ekipy.

Imponujący budynek Muzeum II Wojny Światowej, to efekt międzynarodowego konkursu architektonicznego, który w 2010 r. wygrało gdyńskie Studio Architektoniczne „Kwadrat”. Mówi się o tym obiekcie, że to „trzecia gdańska katedra” i zapewne



Fot. Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku

poza sakralnymi skojarzeniami chodzi o trzecią nową, postmodernistyczną architektoniczną konstrukcję, która budzi żywe dyskusje obok budynku Europejskiego Centrum Solidarności i czarnej bryły Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego.

Do tej pory zgromadzono ponad 37 tysięcy historycznych obiektów, z czego przeszło 12 tysięcy to dary: przedmioty życia codziennego, pamiątkowe cenne zdjęcia, dokumenty, listy, zapiski cywilów i żołnierzy. Część ofiarodawców, w tym córka Wilka-Krzyżanowskiego, komendanta okręgu wileńskiego ZWZ-AK pani marszałek Olga Krzyżanowska zamierza teraz, po tej zmianie dyrektora i koncepcji muzeum, wycofać z depozytu pamiątki po ojcu.

Wystawa składa się z kilku ważnych części: Droga do wojny, Groza wojny, Długi cień wojny, Terror. Aby wszystko dokładnie obejrzeć, potrzeba kilku godzin, a najlepiej kilku wizyt w muzeum. Trudno wymienić wszystkie cenne eksponaty, ale na pewno ważna jest maszyna szyfrująca Enigma (dar Muzeum Wojskowego w Oslo), wyposażenie i umundurowanie w armiach walczących na różnych frontach, oryginalne pojazdy: motocykl niemiecki, czołg, a nawet rozpięty pod pułapem myśliwiec, a także pamiątki po zamordowanych w Katyniu i sala katyńska z filmową opowieścią Andrzeja Wajdy. Ciekawe są sztandary pułkowe i ściana walizek, atak na Westerplatte uwieczniony na niemieckim filmie dokumentalnym i karty do gry, zeszyty szkolne z notatkami, ozdoby choinkowe ze swastyką, albumy, listy z łagru pisane na korze drzewa, paczki z Unry. Są też pamiątki po Sybirakach. I koniecznie trzeba się przejść zrekonstruowaną przedwojenną warszawską uliczką z wystawami sklepowymi i tajemniczym wejściem do kina „Wanda”, poczytać gazety z tamtych czasów. Cały kwartał poświęcony czasom okrutnego terroru wojennego i powojennego: masowe egzekucje, masowe groby, okrucieństwo i przemoc, zbrodnie nie do zapomnienia. Norman Davies mówił: *Nieprawdą jest, że historycy wszystko wiedzą o II wojnie (...) dlatego potrzebujemy nie tylko opracowań o tej wojnie, ale także wystaw, multimedialnych, które pozwoliłyby na przekazanie tego, co wiemy o tym kataklizmie.* Stąd pewnie pomysł teleturnieju wiedzy o II wojnie światowej i rywalizacja na wielkim kole historii i na muzealnych komputerach. A zadane są niełatwe pytania.

W ciągu jednego dnia muzeum może odwiedzić ponad tysiąc osób. W czasie politycznej burzy i ostrego naporu aktualnej władzy na tę placówkę przy Placu Władysława Bartoszewskiego w Gdańsku czekało się na wejście do muzeum w kolejce po kilka godzin. Przez dziesięć pierwszych dni odnotowano piętnaście tysięcy zwiedzających.

Nie lubił opowiadać o sobie

Janusz Uklejewski (1925-2011) to dla jednych artysta fotografik i fotoreporter związany z Gdynią od 1945 roku, dla mnie zaś to kochany dziadek. Nakreślę jego osobę z punktu widzenia rodziny oraz podzielę się niektórymi moimi wspomnieniami z nim związanymi.

LUCYNA PRZYBYLSKA

Wspomnienia z okresu dzieciństwa związane z dziadkiem łączę z nietypowymi przedmiotami, jakie były w domu fotografa. Gdy nocowałam z bratem „u dziadków na Śląskiej” (np. w sylwestra) czy po prostu odwiedzaliśmy ich z rodzicami, wtedy bawiliśmy się drewniano-plastikowymi szpulkami po negatywach. Układaliśmy z nich różne konstruk-

cje: ludziki, auta, dźwigi. Godzinami także rysowaliśmy na prześwieconym papierze fotograficznym. Czasami robiłam zakładki do książek z przezroczystych końcówek negatywów.

Ponadto naszym ulubionym zajęciem była wtedy zabawa maszyną do pisania – samo wystukiwanie na niej, nastawianie w niej kartki papieru itd. Maszy-



Fot. ze zbiorów J. Uklejewskiego

na stała w niewielkim pokoiku, gdzie oprócz szaf z materiałami fotograficznymi, gazetami i lodówką, (w której stały odczynniki niezbędne dla ówczesnego procesu wywoływania zdjęć) stało wielkie biurko pod oknem, wiecznie zavalone różnymi przedmiotami, aby wszystko było pod ręką, np. zestaw do retuszu zdjęć, lupy powiększające, ołówki, pocztówki, gazety, kalendarz biurkowy itp. Dziś nazwalibyśmy taki pokój biurem, pracownią, wtedy był to pokój dziadka do pracy, w którym notabene nigdy nie widziałam go, jak pracował. Zapamiętałam go natomiast pracującego w ciemni urządzonej na poddaszu przedwojennej kamienicy, w której mieszkał. Najczęściej widywałam go pochylonego z lupą nad negatywami lub zajętego retuszem zdjęć w kuchni lub salonie.

Pamiętam też dziadka jako kierowcę rodzinnego, oczywiście w bagażniku samochodu nie mogło zabraknąć jego aparatów fotograficznych łącznie ze statywem. Chętnie pomagał, zawożąc lub odbierając kogoś lub coś. Łączył też wyjazdy służbowe z rodzinnymi spacerami. Na przykład pamiętam wyprawę na Półwysep Helski, podczas której dziadek robił zdjęcia dokumentujące straty sztormowe na wybrzeżu. Natomiast szczególnie mocno utkwiła mi sytuacja, kiedy w miejscowości Kamień najechaliliśmy na polny kamień (!), który przebił bak paliwa. Z bratem jadłam wtedy cukierki mordoklejki. One to zostały gwiazdą tego wydarzenia! Po obeerzeniu szkody dziadek zaczął szukać czegoś, aby zakleić dziurę w podwoziu. Ktoś wpadł na pomysł (rodzice lub dziadek), aby zrobić to tymi cukierkami mlecznymi - częściowo wyjętymi z buzi brata i mojej, bo już za mało ich zostało w schowku samochodowym. Udało się dojechać do Gdyni na tym słodkim kleju. Odtąd, wspominają moi rodzice, dziadek zawsze woził w samochodzie klejące cukierki.

Pamiętam też kilka szczegółów kulinarnych związanych z dziadkiem Januszem. Chętnie jadał owsiankę, polskie tradycyjne zupy i przetwory domowe, które sam zwykł robić, np. dzemy truskawkowe i soki aroniowe z owoców z działki ogrodniczej. Miał też słabość do grzybów. Dziadek nie tylko lubił jeździć na grzyby i zbierać je w lesie, lecz także miał w zwyczaju do tego, co wcześniej znalazł, dokupywać jeszcze przy drodze kobiałki z grzybami, które sam chętnie potem przetwarzał. Pamiętam też, że na uroczystościach rodzinnych najczęściej częstował tortem marcello oraz keksem.

Co lubił robić dziadek w domu? Zanim stracił wzrok, lubił czytać opracowania specjalistyczne o tematyce regionalnej, głównie morskiej. Gdy odwiedzałam go, nasza rozmowa często rozpoczynała się od tematu jednej z książek właśnie otrzymanych od kogoś z szerokiego grona współpracowników i przyjaciół. Później bardzo lubił słuchać książek z „czytaka”, czyli z urządzenia zaprojektowanego dla niewidomych. Nie widział bowiem, od kiedy skończył 80 lat, z powodu postępującej latami jaskry, pomimo przebytych dwóch operacji. Co należy pokreślić, mój dziadek nigdy nie narzekał na swoje zdrowie, a mógłby, ponieważ



Fot. ze zbiorów J. Uklejewskiego

przeszedł zawał serca (w 1990 r.) i wspomniane operacje oczu, a fotograf to przecież zawód, w którym wymaga się w pierwszej kolejności dobrego wzroku. Często widywałam go zakraplającego oczy coraz nowszymi, niby lepszymi kroplami. Nie udało się jednak cofnąć ani zatrzymać postępującej jaskry.

Nigdy też nie widziałam go ani krzyczącego, ani mocno zdenerwowanego. Obraz spokojnego, łagodnego, zainteresowanego innymi ludźmi i wydarzeniami w mieście i na świecie dziadka Janusza pozostanie w mojej pamięci. Nie opowiadał o sobie. Wolał zadawać pytania i słuchać. I jak wielu Polaków lubił rozmawiać o polityce...

Wspominając doszłam do wniosku, że z roli dziadka wywiązał się znakomicie. Dzielił się z wnuczką tym, co miał, zarówno konkretnymi umiejętnościami z zakresu robienia zdjęć, kadrowania i wywoływania, czy też robienia dobrych przetworów domowych, jak i swoim czasem - słuchał, zadawał pytania. Czułam się u niego w domu jak u siebie. Oby mi się też tak udało kiedyś w roli babci...

Po 100 latach, wdzięczni gdynianie...

W 2018 r. nastąpi odsłonięcie pomnika Polska Morska, potem odsłonięcie pomnika Kwaterna Pamięci na Cmentarzu Marynarki Wojennej na Oksywiu, a potem, gdzieś w okolicach 2019 r. rozpoczną się prace przygotowawcze do postawienia pomnika upamiętniającego twórcę portu, a w konsekwencji i miasta - Tadeusza Wendy.

EWA GRUNERT



Fot. Google Maps

Właściwie kolejność powinna być odwrotna, bo gdyby nie Tadeusz Wenda - nie byłoby Polski morskiej, ale poczynania decydentów nie zawsze muszą kierować się logiką. Na razie Rada Miasta Gdyni postawiła pierwszy krok do wyboru miejsca, czyli podjęła uchwałę o zmianie miejscowego planu zagospodarowania miasta. Pomnik zostanie postawiony na ostrodku wychodzącej z Nabrzeża Kutrowego, skierowanej w głąb Basenu Prezydenta. - *W bieżącym roku odbędą się konsultacje środowiskowe, plan musi zostać zaakceptowany przez wojewodę* - powiedziała Joanna Zielińska, przewodnicząca Rady Miasta Gdyni. - *Na razie nie mówimy o finansowaniu, ale chcielibyśmy nawiązać w tej sprawie kontakt z portem.* Natomiast zdaniem Marka Stępy, wiceprezydenta Gdyni - wiele wskazuje na to, że jeszcze w tym roku (na razie nie ma terminu) ogłoszony zostanie konkurs na wizję pomnika Tadeusza Wendy.

Skoro już o wizjach pomników mowa, to Gdynia nie ma szczęścia do dobrych i ciekawych projektów. Na Placu Kaszubskim stoją dwa niezbyt udane. Przede wszystkim straszy gigantyczny kolos Antoniego Abrahama, a parę metrów dalej mamy ławeczkę z siedzącą parą trochę nieudanych staruszków, z którymi jakoś nikt nie chce zrobić sobie zdjęcia. Na Skwerze Gombrowicza, na terenach portu stoi pomnik poświęcony Ludziom Morza, czyli 12-metrowa konstrukcja złożona z 4 głazów symbolizujących 4 zawody morskie: dokerów, marynarzy, rybaków i stoczniovców. Aby wpaść na taki pomysł, trzeba było mieć bardzo wybujałą wyobraźnię. Teraz na Skwerze Kościuszki szykuje

się następny pomnik, tym razem Polski Morskiej, który zamin powstał, już się mieszkańcom nie spodobał. Gdynianie woleliby widzieć w tym miejscu obelisk - 12-metrową falę z kotwicą, która bardzo dobrze komponuje się z otaczającą to miejsce architekturą, ale postanowiono wybudować jakąś abstrakcję w narodowych barwach. Co prawda w tym miejscu istnieje już elegancka płyta Marynarza Polskiego, ale nie bardzo rzuca się w oczy, a więc - w opinii niektórych środowisk - nie odgrywa swojej roli poznawczo-historycznej.

Powstaje zatem pytanie, jaki będzie pomnik Tadeusza Wendy, który zostanie postawiony prawdopodobnie dopiero w 2020 r. Najlepsza dla propagandowego wizerunku władz miasta, byłaby data 20 czerwca 2020 r., kiedy to minie 100 lat, od dnia, kiedy T. Wenda przesłał ówczesnemu rządowi raport o wyborze miejsca budowy portu.

O tej historycznej dla małej wioski Gdyni decyzji mówił dwa lata przed śmiercią Eugeniusz Kwiatkowski, w wywiadzie udzielonym dla „Głosu Wybrzeża”: *Mnie niesłusznie nazywa się budowniczym Gdyni. Budowniczym i projektantem był wybitny polski fachowiec inż. Tadeusz Wenda. Tak, to prawda, to ja zmieniłem system budowy Gdyni - z powolnego na szybki.*

I tak musi minąć cały wiek, aby „miasto z morza i marzeń”, jak to zwykła się tym określeniem chwalić Gdynia, uhonorowała pomnikiem swego twórcę. Strach pomyśleć, co by się stało z tamtą wioską, gdyby T. Wenda zdecydował, że port powstanie np. we Władysławowie.

Pomnik Tadeusza Wendy stanie w tym miejscu.

Święto polskiego filmu w Gdyni

Festiwal Filmowy w Gdyni tradycyjnie organizowany był we wrześniu, ale 4-5 lat temu był i w czerwcu, i w maju. Wrzesień był jednak dobrym miesiącem na tego typu imprezę, co też potwierdziło się podczas kolejnych festiwali organizowanych od 2014 r. Tegoroczny 42. Festiwal Filmowy jest już zaplanowany, odbędzie się w dniach 18-23 września.

JERZY UKLEJEWSKI

Przez wiele lat oficjalną nazwą tego festiwalu był Festiwal Polskich Filmów Fabularnych, potem był Gdynia Film Festival, a od 2014 r. organizowany on jest już pod nazwą Festiwal Filmowy w Gdyni. Festiwal jest jednym z najważniejszych wydarzeń w życiu miasta, w sposób istotny wpływającym na jego rozwój i wizerunek. Festiwal Filmowy w Gdyni jest też najważniejszą polską imprezą filmową, posiadającą status narodowego festiwalu filmowego, która w wyrazisty sposób przyczynia się do upowszechnienia kultury filmowej, promocji polskiego dorobku filmowego.

Festiwal Polskich Filmów Fabularnych powstał w latach 70. z inicjatywy gdańskiego środowiska Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Żak” oraz Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Obecnie jego pro-

ducentem jest Pomorska Fundacja Filmowa w Gdyni, a organizatorami są: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Polski Instytut Sztuki Filmowej, Miasto Gdynia, Samorząd Województwa Pomorskiego, Stowarzyszenie Filmowców Polskich, TVP SA, HBO Polska. Tak jak poprzednie festiwale, tak i ten – jak zapowiadają organizatorzy – wypełniony będzie mnóstwem imprez towarzyszących: konkursami, przeglądami filmowymi, wystawami, pokazami pozakonkursowymi, prezentacjami książek, wykładami, spotkaniami, debatami. Oczywiście najważniejszym punktem Festiwalu Filmowego w Gdyni będzie Konkurs Główny. A kto zdobędzie najważniejszą nagrodę, czyli Złote Lwy, o tym dowiemy się w drugiej połowie września.



Katarzyna Figura pod obstrzałem fotoreporterów

Sukces zapisany w dziełach sztuki

8 kwietnia 2017 r. w Muzeum Narodowym w Gdańsku, w Oddziale Sztuki Nowoczesnej w Pałacu Opatów odbyła się gala otwarcia Międzynarodowej Wystawy Malarstwa i Tkaniny Artystycznej EKO-MATERIA, której organizatorami było Muzeum Narodowe w Gdańsku i Stowarzyszenie Promocji Artystów Wybrzeża ERA ART z Gdyni. Wystawa cieszyła się ogromnym powodzeniem.

EWA GRUNERT



Fot. Krystyna Czajczyk

szyłka-Głaza, kurator wystawy. – *Materia to materiał wykorzystany w pracach artystów, ale również otaczająca nas rzeczywistość w jej wymiarze bytowym, z wszelkimi wynikającymi zagrożeniami, które są negatywnym skutkiem postępującej cywilizacji. Artysty stosują w swoich pracach nieoczywiste materiały artystyczne (artystyczny recykling) lub w tradycyjny sposób podejmują tematykę troski o nasze miejsce na ziemi tu i teraz. To również pokaz zaskakujących i nieoczywistych, czasami nowych kategorii artystycznych. Granica pomiędzy dziedzinami sztuki staje się płynna i umowna. Artysty po raz kolejny udowadniają, że ich wyobrażenia, wrażliwość i niczym nieograniczona chęć eksperymentowania nie znają granic.*

Wykorzystanie ekologii w sztuce to wyzwanie dla każdego artysty – twierdzi Ewa Gołębiowska, prezes ERA ART. – Materia pokazuje to, co dotyczy nas wszystkich, naszą naturę wraz z jej pięknem i niszczeniem przez człowieka. Jak podkreślił Wojciech Bonisławski, dyrektor Muzeum Narodowego w Gdańsku – pomysł Stowarzyszenia ERA ART spotkał się z ogromnym zainteresowaniem, co świadczy o tym, że artyści z całego świata chcą dać swój wkład w ochronę naszego globalnego środowiska. – Mamy nadzieję na dalszą współpracę z ERA ART także i przy innych tematach.

Do udziału zaproszono blisko 100 artystów z Polski, Europy (Włochy, Holandia, Austria, Niemcy, Anglia, Szwecja, Francja, Litwa) i Indii. Do ekspozycji jury wybrało 53 artystów, którzy w swoich pracach pokazali różnorodność pojęcia szeroko rozumianej ekologii. – *To próba odpowiedzi na odwieczne pytania dotyczące kondycji człowieka, jego miejsca na ziemi i pozostawionego dziedzictwa – pozytywnego lub negatywnego – powiedziała Małgorzata Pa-*



Fot. Krystyna Czajczyk

Andrzej Banachowicz, prof. dr hab., Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu

Artysta tworzy w dziedzinie szeroko pojętej tkaliny artystycznej oraz obiektach z blachy, gliny, granitu, szkła itp. W centrum jego zainteresowania tkwi zawsze człowiek. Znaki, odciski pamięci, cienie istnień wylaniające się z tkackiej osnowy bądź aura instalacyjnej przestrzeni odzwierciedlająca jego wczoraj, dziś i jutro... To wszystko możemy zobaczyć na prezentowanej na wystawie tkaninie „Ecco signum”.

Fot. Erazm Wojciech Felcyn



Praca Andrzeja Banachowicza

Zuzanna Skiba, Niemcy

W Niemczech temat ekologii przedstawianej w sztuce jest dość popularny, bo pomaga ludziom zrozumieć nasze poczynania zmierzające do poprawy naturalnego środowiska. W moim obrazie zamiast farby zastosowałam technikę połączenia smoły z olejem.

Fot. Krystyna Czapczyk



Zuzanna Skiba

Karolina Sprung-Zalewska, Polska

Otoczająca nas przyroda, w tym wypadku kwitnąca łąka, jest równie niebezpieczna jak piękna. Coraz więcej osób boryka się z problemem uczulenia na pyłące trawy i inne rośliny zielne. Praca jest jedną z serii „EKO Alergii” i przybliży niebezpieczeństwo, jakie niesie zanieczyszczenie środowiska, i walkę organizmu ludzkiego z każdym, nawet tak naturalnym materiałem, jakim są zioła.

Fot. Krystyna Czapczyk



Karolina Sprung-Zalewska

Daria Sołtan-Krzyżyńska

Tkanina powstała inspirowana wyłącznie naturą i bezpośrednim z nią kontaktem. Ten żywy, bardzo osobisty stosunek do otaczającego świata pozwala mi przetwarzać impulsy zewnętrzne w obrazy ujawniające wewnętrzną istotę rzeczywistości.

Fot. Krystyna Czapczyk



Daria Sołtan-Krzyżyńska



Fot. Erazm Wojciech Felcyn

Notatki z wystawy

Muzeum Narodowe w Gdańsku wspólnie ze Stowarzyszeniem Promocji Artystów Wybrzeża ERA ART zorganizowało w Oddziale Sztuki Nowoczesnej MNG - Pałac Opatów w Oliwie wystawę zatytułowaną EKO-MATERIA (9 kwietnia - 4 czerwca 2017). Pomysłodawcą wystawy było Stowarzyszenie ERA ART.

MAŁGORZATA PASZYLKA-GLAZA

Do udziału zaproszono 54 artystów z Polski, Europy (Włochy, Holandia, Austria, Niemcy, Anglia, Szwecja, Francja, Litwa) i Indii. Artyści w swoich pracach ukazali różnorodność pojęcia szeroko rozumianej ekologii, a właściwie materii eko. To była próba odpowiedzi na odwieczne pytania dotyczące kondycji człowieka, jego miejsca na ziemi i pozostawionego dziedzictwa - pozytywnego lub negatywnego. Materia to nie tylko materiał wykorzystany w pracach artystów, lecz także otaczająca nas rzeczywistość w jej wymiarze bytowym, z wszelkimi wynikającymi zagrożeniami, które są negatywnym skutkiem postępującej cywilizacji. Artyści zastosowali w swoich pracach nieoczywiste materiały artystyczne (artystyczny recykling) lub w tradycyjny sposób podjęli tematykę troski o nasze miejsce na ziemi tu i teraz. To był również pokaz zaskakujących, a czasami wręcz nowych kategorii artystycznych. Granica pomiędzy dziedzinami sztuki stała się

płynna i umowna. Artyści po raz kolejny udowodnili, że ich wyobrażenia, wrażliwość i niczym nieograniczona chęć eksperymentowania nie znają granic. Wystawa była także świetnym przykładem na to, że definicja dzieła sztuki jest płynna i w jakimś sensie, w obecnej rzeczywistości, trudna do zdefiniowania. Przeważały prace malarskie i z zakresu tkaniny artystycznej, ale również było kilka obiektów rzeźbiarskich. Prace malarskie prowadziły zresztą świetny dialog z nader oryginalnie potraktowaną tkaniną - nie tylko tkaną, drukowaną czy stemplowaną. Tkaniną malarską, przestrzenną i zaskakującą w swojej strukturze. Od „tradycyjnego” gobelinu (Andrzej Banachowicz), poprzez żakard (Halina Strzechowska-Ratajska), do imponujących technik własnych i unikatowych (Paweł Kiełpiński, Anna Królikiewicz, Barbara Polkowska-Ugwu, Edyta Rola-Marcinkowska, Joanna Rusin, Daria Sołtan-Krzyżnińska). Tkanina, która już dawno przekroczyła



Fot. Erazm Wojciech Felcyn

tradycyjną granicę materiału i techniki. Jej nieoczywista i zaskakująca struktura, „nietkackie materiały”, przestrzenność i barwa stawiają ją na granicy malarstwa i rzeźby. „Ślady proste” Anny Królikiewicz to imponujący pomnik pamięci o miejscu, które umarło na naszych oczach. Olbrzymia, prosta tkanina z wręcz organicznymi, rdzawymi śladami bytności Stoczni Gdańskiej już tylko częściowo obecnej w pejzażu Gdańska. To pamięć miejsca, które odchodzi w niebyt. Materia, która staje się już tylko i wyłącznie pamięcią. Zuzanna Seweryna Dolega swoje „Wzloty” tworzy z papieru. Krucha materia, delikatna w swojej strukturze i bycie. Ma w sobie coś z pięknej i subtelnej koronki. Imponujące obiekty przestrzenne, które strukturę tkaniny traktują jak materię rzeźbiarską. Pomnik bezinteresownej miłości w wydaniu eko, czyli „Piękne czekanie” Sylwii Jakubowskiej-Szycik, nawiązuje dialog z „Ostatnim zwierzem” Danieli Krystyny Jałkiewicz i jest kompatybilny z „Końcem i kontynuacją” Christy Jeitner. I tylko wulkaniczna struktura pracy Magdaleny Peli z cyklu „All-over” zdaje się być nieoczekiwanym meateorytem z kosmosu.

Najbliżej kultury ekologicznej była niezwykła praca Zofii Martin – „św. p.”. Na wysokim białym postumencie przykrytym białą, delikatnie połyskującą tkaniną stały w kilku rzędach małe, ceramiczne trumienki z truchelkami pszczoł. Zachłanność człowieka w zakresie zdobywania nowych przestrzeni do życia i jeszcze wynikający stąd kult bezrozumnego konsumpcjonizmu osiągnęły swój kulminacyjny punkt. Sztuka po raz kolejny udowadnia swoją wielką troskę o przyszłość ludzkości. I jeszcze prace malarckie. Te z ducha tradycyjne (natura i jej piękno jako nieustające źródło inspiracji dla artystów) i te przekraczające granice naszego wyobrażenia o malarstwie. Natura metafizyczna, symboliczna i melancholijna, czyli obrazy Katarzyny Adamek-Chase, Małgorzaty Andrzejewskiej, Marii Konopackiej, Anetty Küchler-Mocny, Jacka Maślankiewicza czy Karoliny Sprung-Zalewskiej. I natura „abstrakcyjna”, zamknięta w układzie szalenie indywidualnych barw na obrazach Małgorzaty Czerniawskiej, Agaty Kosmali, Piotra Mastalerza, Janusza Osickiego i Krzysztofa Rapsy. I na tym tle dwie wyróżniające się oryginalnością postawy: Sylwii Janiszewskiej, która do tworzenia swoich obrazów zaprosiła ptaki nielatujące – kury, oraz Joanny Dudek, która w swoich „Obrazach przeciwbólowych” (zaskakujących w jednolitości barwy i logiczności struktury) mierzy się z odwiecznym lękiem człowieka przed cierpieniem. I jeszcze zasnuła mgłą miejskie przestrzenie z obrazów Eddy Dijkslaga, chłodne, puste, zdystansowane, bez czynnika ludzkiego, czy „Niewidzialne planety” Jana Fekete, zadziwiające w swojej jednorodności kolorystycznej, absolutnie zjawiskowa „Kosmologia w naturze” Ankura Kumara. I bardzo ekologiczne prace Mirko Dématte, który stosuje artystyczny recykling w najlepszym tego słowa znaczeniu.

EKO-MATERIA w artystyczny sposób pokazała, jak inspiracja małymi elementami natury i otaczającego nas świata buduje „przejmujące piękno wszechświata”.



Fot. Erazm Wojciech Felcyn



Fot. Erazm Wojciech Felcyn

Pasja do natury

Profesor Alina Jackiewicz-Kaczmarek jest absolwentką Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku, Wydziału Malarstwa, Grafiki i Rzeźby. Na Wydziale Grafiki prowadzi Pracownię Grafiki Artystycznej Wkłęśłodruku.

EWA GRUNERT



Urodziła się w Lublinie, gdzie ukończyła Liceum Sztuk Plastycznych im. Cypriana Kamila Norwida. Jak sama mówi – Lublin to bardzo piękne miasto, ale jego wadą jest zbyt dalekie położenie od morza. Alina należała do miejscowego Klubu Żeglarskiego, gdzie uzyskała stopień żeglarza, a następnie sternika jachtowego i wtedy żeglowanie stało się jej pasją. Dlatego podjęła decyzję o studiach plastycznych w Gdańsku, co pozwoliło na połączenie planów artystycznych z żeglarstwem. – *Jestem zauroczona pejzażem morskim* – mówi pani profesor. – *Morze jest niezwykle tajemniczym obszarem, rzadko poddającym się woli człowieka. Żyje własnym niespokojnym, wciąż zmieniającym się rytmem.*

Po ukończeniu studiów Alina Jackiewicz-Kaczmarek została zatrudniona na Wydziale Malarstwa i Grafiki, na stanowisku asystenta w Pracowni Grafiki Artystycznej Wkłęśłodruku. Zamieszkała w Gdyni i zamiłowanie do grafiki połączyła z podróżami morskimi. Zaczęły się wyprawy żeglarskie, podczas jednej z nich poznała swojego męża. Dalej żeglowali razem po Morzu Bałtyckim, Śródziemnym, Północnym, a nawet Grenlandzkim. Zygmunt Kaczmarek jest jachtowym i motorowodnym kapitanem żegluga wielkiej, a Alina – sternikiem morskim. Alina Jackiewicz-Kaczmarek obecnie, jako profesor

w Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Uprawia grafikę artystyczną, rysunek, malarstwo i fotografię przyrody. Pasja żeglarska towarzyszy osiągnięciom zawodowym Aliny. Tuż po ukończeniu studiów jednym z pierwszych sukcesów było uzyskanie w 1980 r. głównej nagrody w konkursie „World Print III” w San Francisco – Special Edition Purchase Award. – *Moja grafika zatytułowana „Yachting” została wybrana z pośród pięciu tysięcy grafik z całego świata uczestniczących w konkursie* – wspomina profesor. – *Było to niewątpliwie wielkie osiągnięcie artystyczne.*

Sukces rodzi sukces, mijają lata wypełnione pracą twórczą i zdobywaniem uznania w kraju i na świecie. – *Wystaw było bardzo dużo, każda miała swój własny nastrój. Jedną z ciekawszych ekspozycji była wystawa, którą zorganizowałam w 2010 r. w „Gallery Svalbard” w Longyearbyen* – mówi Alina Jackiewicz-Kaczmarek. – *Jest to galeria sztuki położona najdalej na północ, ok. 1000 km od bieguna północnego, w stolicy Svalbardu Longyearbyen na Spitsbergenie. Wystawę zatytułowałam „EXPEDITION into another dimension”, co znaczy „WYPRAWA w inny wymiar”. Spitsbergen to idealne miejsce do zaprezentowania moich prac, ponieważ fascynuje mnie Arktyka i naturalne środowisko dalekiej północy.*

Alina Jackiewicz-Kaczmarek łączy pracę pedagogiczną w Akademii Sztuk Pięknych z własną twórczością i zamiłowaniem do dalekich podróży i żeglarstwa. Nie zna pojęcia czasu wolnego, bo takie pojęcie nie istnieje dla większości artystów. Jako wykładowca chętnie przebywa z młodzieżą. Jak sama mówi: *Dobrze jest mieć możliwość podzielenia się swoim doświadczeniem i wiedzą z młodymi pełnymi entuzjazmu ludźmi. Ważnym aspektem jest rozwijanie osobowości i kreatywności studentów, przygotowanie ich do samodzielnej pracy. Studenci ASP kochają swój przyszły zawód tym bardziej, że mają większą możliwość podróżowania, poznawania świata i dokonywania wyboru.*

A plany na przyszłość? Tu zamierzenia są imponujące. Jeszcze w 2017 r. oboje z mężem organizują wyprawę samochodem dookoła Islandii. Alina Jackiewicz-Kaczmarek ma nadzieję na nowe przeżycia, niezapomniane wrażenia, które przywiezione z „krajiny ognia i lodu” będą inspiracją do powstania nowych grafik, obrazów, prezentacji fotograficznych i opowieści.



Zapomniane zabytki gdyńskie

Drewniany krzyż Wendy, postawiony w 1922 r. przez twórcę portu Tadeusza Wendę, nie ma szczęścia do opiekunów, podobnie, jak i jego fundator do pamięci wśród gdynian. Przypomnijmy, że krzyż stanął u nasady drewnianego moła, tzw. Tymczasowego Portu Wojennego i Przystani dla Rybaków. W miarę rozbudowy portu, w 1932 r., został przeniesiony na ówczesny brzeg morski. W pierwszych dniach okupacji Niemcy krzyż zniszczyli. Nowy, wykonany po wojnie przez gdyńskich rybaków, postawiony został na starym miejscu, gdzie stoi do dziś.

EWA GRUNERT



Stan krzyża stojącego przy ul. Waszyngtona jest opłakany. Jak poinformował Robert Hirsz, konserwator zabytków, remont krzyża chce przeprowadzić Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, które jednak na razie wyjaśnia sprawę terminu przeniesienia krzyża, jako że ma on się znaleźć docelowo bliżej ulicy Waszyngtona zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania terenu.

- Krzyż jest wpisany do wojewódzkiego rejestru zabytków jako zabytek ruchomy. Wiemy, że krzyżem opiekuje się pan Piotr Wendt i wszyscy jesteśmy mu wdzięczni, ale są też inni zainteresowani - powiedział R. Hirsz. - Zrzeszenie chce, aby opiekę nad krzyżem sprawowała na stałe jedna ze szkół gdyńskich.

Pytanie najważniejsze: kto pokryje koszty rewitalizacji? Zdaniem R. Hirsza - miasto oczywiście mogłoby zapłacić, o ile zaakceptuje to prezydent, ale Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie chciało zrobić

zbiórkę, aby nadać tej akcji wymiar społeczny. Andrzej Busler, prezes oddziału w Gdyni, pukał już do wielu drzwi z prośbą o wsparcie przy renowacji krzyża. - Niespełna trzy lata temu wzięliśmy udział w konkursie na remont małych zabytków, organizowanym przez jeden z banków - mówi A. Busler. - Złożyliśmy naszą ofertę na 5 tys. zł, które potrzebne były tylko na zakup materiału, a wykonanie to byłby wkład społeczny. Niestety, nie zostaliśmy zakwalifikowani.

Obecnie znów nikt nic nie wie. Trwa oczekiwanie na podjęcie jakichś decyzji i określenie kosztów prac związanych z przeniesieniem krzyża, jego renowacji i uporządkowania okalającego go terenu. A. Buslerowi marzy się wmontowanie stylowych tablic, które przypominałyby mieszkańcom i turystom, kim był człowiek, który ten krzyż postawił.

Gdynia morzem pachnąca

9 czerwca 2017 r. w Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni odbyło się wodowanie książki „Gdynia morzem pachnąca - Obserwatorium zmian w latach 1884-2016”

Album poświęcony jest historii Gdyni. Na 304 stronach znajdziemy ponad tysiąc zdjęć obrazujących najważniejsze - zdaniem autorów: Haliny Wasielek-Cieślak i Jerzego Drzemczewskiego - wydarzenia, jakie miały miejsce w tych latach, wraz z krótkim komentarzem.

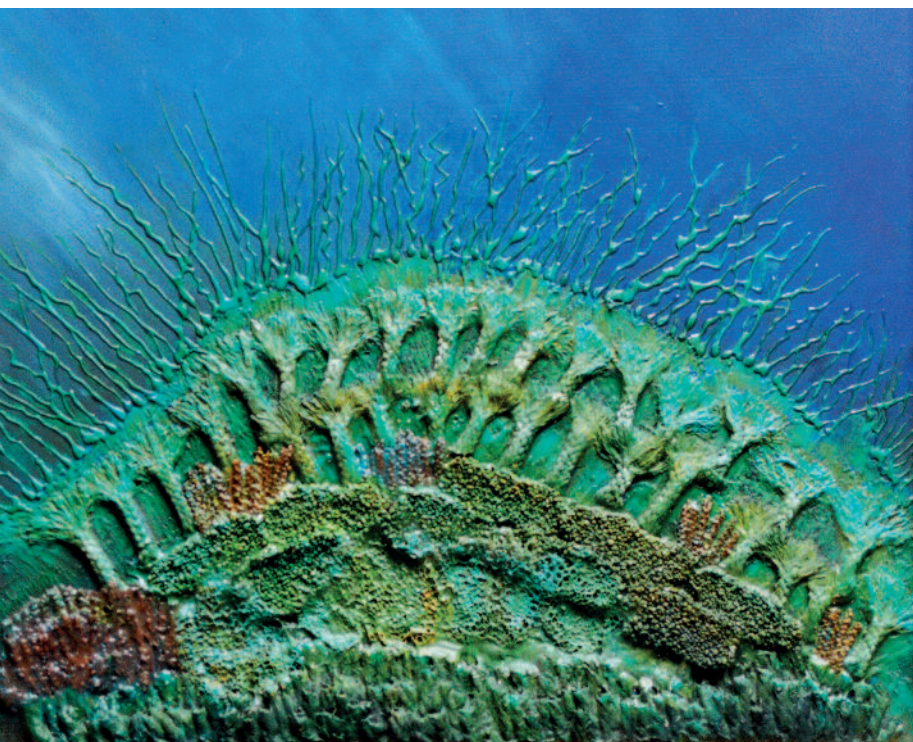


Z wiatrem... na Darze Pomorza

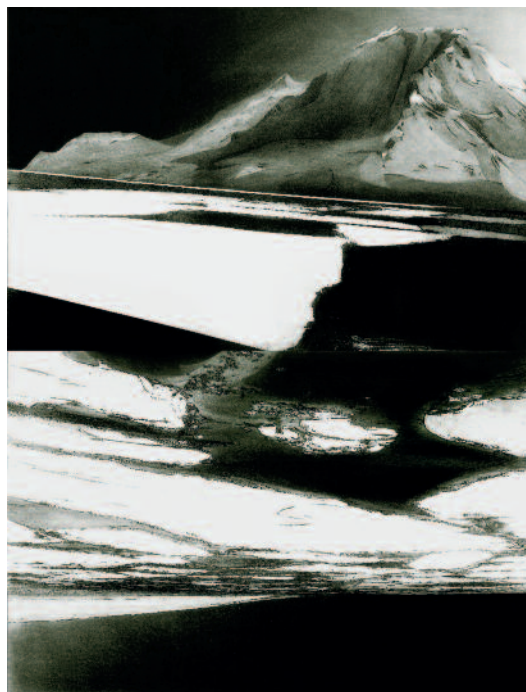
19 maja 2017 r. na pokładzie żaglowca Dar Pomorza, zacumowanego na starym nabrzeżu w porcie gdyńskim, odbył się wernisaż wystawy „Z wiatrem”. Swoje prace pokazało dwoje gdyńskich artystów: Alina Jackiewicz-Kaczmarek, prof. Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku oraz Wojciech Kostiuk, absolwent tejże uczelni. Wystawę zorganizowało Stowarzyszenie Promocji Artystów Wybrzeża ERA ART.

EWA GRUNERT

O pani profesor piszemy obszerniej na stronie 12. Natomiast Wojciech Kostiuk, znany w Polsce i na świecie grafik i malarz, studia ukończył w czasach, kiedy ASP nosiła nazwę Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, w pracowni doc. Barbary Masalskiej. Zajmuje się grafiką warsztatową i malarstwem. Prowadził działalność pedagogiczną w zakresie wychowania plastycznego. – *W grafice staram się oddać prawdę całkowitą* – powiedział artysta. – *Przedstawione przeze mnie morze, żaglowce, elementy z Don Kichota oraz wieże Babel tworzą moje alegoryczne sny o świecie. W malarstwie fascynuje mnie faktura i kolor. Nawiązuje tym do techniki graficznej intaglio. Swoje prace wykonuje technika-*



Wojciech Kostiuk



Alina Jackiewicz-Kaczmarek

mi takimi jak akwaforty czy akwafinty, wymagającymi dużego talentu, precyzji i cierpliwości. Jak twierdzi artysta – tę wymagającą sztukę tworzenia grafik powoli wypiera komputeryzacja. Aby tworzyć taką techniką, trzeba mieć do tego zamiłowanie.

W. Kostiuk brał udział w około 150 wystawach okręgowych, ogólnopolskich i międzynarodowych. Ma za sobą ponad 20 wystaw indywidualnych, a jego prace znajdują się w muzeach i zbiorach prywatnych w kraju i za granicą.

Dar Pomorza rocznie odwiedza ponad 100 tys. osób.

Raport po R@Porcie

Po raz 12. odbył się w Gdyni Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych R@Port, któremu od 10 lat towarzyszy Gdynńska Nagroda Dramaturgiczna a od czterech lat konkurs dla młodych krytyków teatralnych im. Andrzeja Żurowskiego.

ALINA KIETRYS

Jak było w tym roku w Gdyni? Dość ciekawie i różnorodnie, choć na scenie nie trafiło się arcydzieło. Spektakle współczesnej polskiej dramaturgii zajmowały się szukaniem śladów „Po Burzy” Szekspira (Agata Duda-Gracz), głośnym rozstrzygnięciem antysemityzmu i neofaszyzmu w przedstawieniu z Białegostoku „Biała siła, czarna śmierć, Triumfem woli” Pawła Demirskiego rodem z Narodowego Starego Teatru w Krakowie. W reżyserii Moniki Strzępki tekst Demirskiego był długi i fragmentami po prostu nudny. Odczarowanie fenomenu kulturowego Leni Riefenstahl udało się średnio. Duet Demirski - Strzępka jest firmową marką teatralną, ale w tej realizacji bajki „ku pokrzepieniu” o szczęśliwie uratowanych z katastrofy lotniczej najważniejsi i najciekawszy okazali się znakomici aktorzy Starego Teatru. Mistrzostwo Doroty Segdy (pani rektor Akademii Teatralnej w Krakowie), Doroty Pomykały (niby jest, a istnieje obok tekstu), wygibasy Moniki Frajczak, która wydaje się dziewczyną z gumy i popularni aktorzy - panowie wyśmienici w przeżabnym tańcu z Dorotą Segdą jako pierwszą kobietą, która przebiegła maraton - to prawdziwy popis scenicznego mistrzostwa. Strzępka jednak ma poczucie humoru i potrafi reżyserować sceny komediowe. I to jest moje odkrycie, ale nie moja nagroda. I widzowie festiwalu właśnie ten spektakl nagrodzili główną nagrodą

Poza tym było o wrocławskiej skomplikowanej historii i płaszczu, który zabrany żydowskiemu krawcowi może przeprowadzić widzów przez koszmary wojenne XX stulecia w sztuce Lidii Amejko „Silesia Silentia”. Niestety, autorka marudziła filozoficznie i zmuszał widza do karkołomnych i nieco grafomańskich rozważań nad podłością ludzkiego losu (i płaszcza) uwikłanego w historycznie zły czas. Był też wzruszający (dla mnie) „Wieloryb The Globe” Mateusza Pakuły, czyli wielka opowieść o pokonywaniu siebie, choroby i wierze we własne możliwości w wykonaniu Krzysztofa Globisza i dwóch bardzo zdolnych aktorek Zuzanny Skolias i Marty Ledwoń. Była też sztuka dobrze znanej w Gdyni autorki Julii Holewińskiej i jej dramat „Krzywicka/Krew”. Monotematyczny, ciągle o udreńczonych kobietach w imię emancypacji, gender, równouprawnienia, ale jak to zrobić, skoro krew naznacza fizjologicznie różne etapy życia kobiety bardziej niż krew u mężczyzny.

Wreszcie nagroda główna festiwalu i znowu duet znany w Gdyni Jolanta Janiczak i reżyser Wiktor Rubin i sztuka z Teatru Polskiego w Bydgoszczy „Żony stanu, dziwki rewolucji, a może i uczone białogło-

wy”. Jury pod przewodnictwem Doroty Masłowskiej, która ciągle jest na topie, uznało ten spektakl za najlepszy. Nie przedstawiono co prawda uzasadnienia werdyktu, co nie znaczy - jak zaznaczyła Masłowska - że decyzja była bezzasadna. Sztuka dość zręcznie zrealizowana nabrała dodatkowego wydźwięku, bo na skutek zmian dyrekcji w teatrze w Bydgoszczy spektakl ten prawdopodobnie zniknie z repertuaru, bo jest zbyt feministyczny i zbyt obrazoburczy. Był to na tym festiwalu drugi manifest aktorski. Pierwszy zademonstrowali aktorzy Narodowego Starego Teatru. Było już wiadomo, że minister kultury klepnął „dobrą zmianę” dyrekcji w ich teatrze. Wzruszający był ten akt solidarności różnych pokoleń aktorów.

Dobrze wypadły czytania Gdynńskiej Nagrody Dramaturgicznej, były ciekawe. Jury alternatywne - młode recenzentki, teatrolożki akademickie i nauczycielka wytypowały do I nagrody sztukę Moniki Drab - „Słabi. Ilustrowany banał teatralny”. Pięknie uzasadniono ten werdykt: *Dramat opowiada o częstym doświadczeniu inności, nieprzystawalności, odklejaniu od wymagań udanego życia. Magdalena Drab operuje minimalistycznym, dość surowym językiem, zamiast didaskaliów zaproponowała proste rysunki komentujące stany bohaterów.* Również oficjalne jury nagrodziło ten tekst. Chwalebna zgodność w ocenie i gustach. Mąż autorki, aktor teatru z Legnicy, który odbierał obie nagrody w imieniu żony, tak się wzruszył, że zabrakło mu tchu. To w przypadku aktora zjawisko wręcz nadnaturalne.

Kapituła konkursu dla młodych krytyków teatralnych im. Andrzeja Żurowskiego (gdynianina z wyboru, profesora uniwersyteckiego, znawcy Szekspira, który zmarł w 2013 r.) nagrodziła dwójkę zdolnych młodych recenzentów: Agatę Tomasiewicz i Szymona Spichalskiego. Niestety, ci krytycy mieszkają poza Trójmiastem. 12 festiwalem w Gdyni w sensie artystycznym dowodził Jacek Sieradzki, redaktor naczelny miesięcznika „Teatr”, na spektaklach bywali aktorzy i reżyserzy z różnych teatrów w Polsce. Czy wybór Jacka Sieradzkiego był optymalny? Znawcy i bywalcy mówili różnie. Każdy festiwal ma jednak swoją pieczęć selekcjonera artystycznego spektakli, ten w Gdyni miał. Dzieło finansowane przez Urząd Miasta w Gdyni, a realizowane przez Teatr Miejski im. Witolda Gombrowicza na pewno istnieje w pejzażu kulturalnym miasta. I ma swoich widzów - to najważniejsze!

Nie muszę już zabiegać, udowadniać, budować kariery

Czas nieubłaganie idzie do przodu, kultura się komercjalizuje, a Edward Hulewicz niezmiennie od ponad 50 lat na scenie. Dzisiejszej młodzieży nie za bardzo znane są jego piosenki, ale osobom nieco starszym - już tak. I choć nie stwarza powodów by lansować się w kolorowych czasopismach, nadal koncertuje, aktywnie działa w środowisku artystów, a tym samym nie daje o sobie zapomnieć.

Z Edwardem Hulewiczem, piosenkarzem, kompozytorem, autorem tekstów rozmawia Jerzy Ukłejewski.

- Jestem z tego pokolenia, które doskonale pamięta Telewizyjną Giełdę Piosenki i pana przebój „Obietnice”, który długo utrzymywał się na pierwszym miejscu Giełdy.

- Z tym, że w przypadku „Obietnic” zostały pobite wszelkie rekordy ilości nadsyłanych listów z głosem na tę piosenkę. I byłaby ona na pierwszym miejscu przez kilka kolejnych miesięcy, gdyby nie kierownik działu rozrywki telewizji niejaki pan Witold Filler, który powiedział: *Dość z tym Hulewiczem* i zakazał umieszczania tej piosenki na liście zwycięzców. Jak powiadały mi panie z redakcji, worki z kilkoma tysiącami listów głosujących na moją piosenkę codziennie przychodziły dalej, ale natychmiast kierowane były do spalenia.

- Jak często pan obecnie koncertuje?

- Westchnąć by się chciało z rozrzewnieniem na wspomnienie, jak to ongiś bywało, kiedy robiło się nawet do sześciu koncertów dziennie. To były inne czasy, inne honoraria i tyle trzeba było pracować, żeby jakoś egzystować. Na taką ilość koncertów zresztą było wtedy zapotrzebowanie, bo każdy zakład pracy przy byle okazji fundował swoim pracownikom jakąś akademię „ku czci”, okraszoną oczywiście jakimś artystycznym występem. Dziś kapitalizm, wolny rynek, inne priorytety i sprawy kultury poszły na koniec listy ludzkich potrzeb. Koncertów jest nieporównywalnie mniej, choć nie mam co narzekać, mimo że na współczesnych scenach króluje młodzież, a wykonawcy mojego pokolenia nie mają zbyt dużego wzięcia. Ja osobiście dość dużo pracuję, często otrzymuję propozycje występu, jeżdżę i występuję tam, gdzie mi zaproponują. I ciągle mi to sprawia przyjemność. I satysfakcję.

- Tyle lat na scenie. Ma pan co wspominać. A jest takie zdarzenie z pana artystycznego życia, które wspomina jako takie zabawne?

- Przypomina mi się pewne zabawne wydarzenie z mojego życia zawodowo-estradowego, które doskonale ilustruje, jak to w socjalizmie uszczęśliwiał się człowieka pracy. Był to okres, kiedy nasz organizator i kierownik zespołu w jednym, postanowił uatrakcyjnić program, przenosząc na nasz grunt pewien pomysł, stosowany w telewizji w popularnym wówczas rozrywkowym programie pt. „Lu-

dziom dobrej roboty”. Otóż na naszym koncercie w odpowiednim miejscu trzeba było wymienić nazwiska przodujących robotników, uzgodnione oczywiście z dyrektorem zakładu. Nasz organizator wymyślił sobie, że ja kończąc program, wręcę takiej zasłużonej pracownicy swoją płytę. Wymyślił on jeszcze, że ta kobiecina przed tym powinna być zapytana ze sceny, kogo by sobie życzyła, żeby jej zaśpiewał. Ona oczywiście powie, że chce Hulewicza, a ja jak diabeł z pudełka, nieoczekiwanie wyskoczę na scenę i jej zaśpiewam. Przed koncertem, jeszcze w zakładzie pracy, organizator wyszukał na ofiarę taką właśnie zasłużoną biedaczkę i wbijał jej do głowy, o co ma być pyтана i jakiego artystę ma „wybrać”. Biedna kobiecina powtarzała w kółko pytanie, które jej zadadzą i nazwisko „ulubionego” piosenkarza. Były to najczęściej proste, nie najmłodsze kobiety, które czasami nawet nie słyszały nigdy mojego nazwiska. Nic z tego koncertu nie miały, umierały ze strachu do końca przedstawienia, czekając na ten swój „występ”, aby wreszcie spytane, kogo chcą, aby im zaśpiewał, wybąkiwały najczęściej przekręcone nazwisko i padały na fotel śmiertelnie wyczerpane i szczęśliwe, że ich męka się skończyła. I wszystko przebiegało zgodnie ze scenariuszem, kiedy konferansjer przestrzegał zasady, żeby zadać tej kobiecie pytanie w takim brzmieniu jakie podano jej do zapamiętania. Katastrofą kończyło się natomiast wtedy, kiedy padało ze sceny pytanie w zmienionej formie. I tak się też pewnego razu stało. Konferansjer, zamiast spytać: *Kogo pani wybrała na dzisiejszy koncert?*, spytał: *Kogo pani zaprosiła na dzisiejszy koncert?*. A ona zdębiała i zdezorientowana palnęła: *Szwagierkę!*

Tu zbity z tropu konferansjer, też nie wiedział, co powiedzieć i bąkał: - *Jak to szwagierkę?*

Ano szwagierkę, bo stary poszedł na drugą zmianę.

Konferansjer zaczął ratować sprawę. - *A może pani zaprosiła kogoś z artystów?*

Aaaaaa, taaaak - wpadła wreszcie na trop babina, tylko że niestety dyskutując z konferansjerem o tej nieszczęsnej szwagierce, siłą rzeczy przestała powtarzać nazwisko „wybranego” artysty i go zapomniała.

Dziś kapitalizm, wolny rynek, inne priorytety i sprawy kultury poszły na koniec listy ludzkich potrzeb.

Hu... hu... hu... – dukała z obiedem w oczach, przerażona kobieta. Wreszcie oczy jej zabłyśły, na twarzy zakwitł wyraz absolutnego szczęścia i wykrzyknęła: *Hulkowskiego!*

Odpowiedział jej zza kulis zwierzęcy ryk. Koleżanki i koledzy mieli radochę!

- Maryla Rodowicz poszła w pana ślady i tak jak pan wraz z Zenkiem Martyniukiem z zespołu Akcent wykonał jedną z piosenek, tak i ona na ostatnim sylwestrowym koncercie dała show z wokalistą muzyki dicopolowej.

- Z tą jednak różnicą, że w propozycji z jaką zwrócono się do mnie - nagrania duetu z gwiazdą muzyki disco polo, chodziło o „Za zdrowie pań” - piosenkę z mojego repertuaru, gdy tymczasem Maryla zaśpiewała z panem Martyniukiem „Przez twe oczy zielone” - piosenkę z jego repertuaru. Z panem Zenkiem spotkałem się jedynie raz podczas nagrania teledysku - nagranie wokalu odbywało się oddzielnie - ja w Warszawie, a on w Białymstoku. Podczas nagrania telewizyjnego nie ma czasu na życie towarzyskie, to ciężka praca przez cały dzień. Po nagraniu pożegnaliśmy się i to był cały mój kontakt z panem Martyniukiem.

- Ceni już pan sobie tę niezależność, którą można osiągnąć, będąc na tym etapie muzycznej kariery?

I tak - jak napisałem na jednym z internetowych portali do moich fanów - jestem na takim etapie mojego życia i prywatnego, i zawodowego, że praktycznie dziś niczego nie muszę. Nie muszę zabiegać, udowadniać, budować kariery, układów, stosunków. Niczego. Ci, którzy mając dobrą wolę chcą znaleźć w moim dorobku jakieś pozytywne, znaczące wartości, z łatwością je znajdą. Wystarczy zagłębić się w moich dokonaniach, poszperać, a na pewno znajdą pozycje, z których sam jestem dumny. Tych natomiast, którzy osądzą mnie, kierując się złą wolą, bez zgłębienia tematu, idąc - jak to się mówi - po linii najmniejszego oporu, - mam w nosie, żeby nie powiedzieć: znacznie niżej. Wiem, zdarzały mi się na mojej długiej drodze zawodowej pozycje z rodzaju „lekkie, łatwe i przyjemne”, ale nie wstydzę się tego, bo stawiając na różnorodność, w moim repertuarze próbowałem wszystkiego, nawet rapu - stylistyki, która powstała chyba tylko po to, żeby w show-biznesie mogli zaistnieć ci wykonawcy, którzy talentu wokalnego nie mają. To takie pyskowanie na tle muzyki. Napisałem i ja taką pozycję, zarówno tekst jak i muzykę, nagrałem ją i jako ciekawostkę śpiewam w swoich recitalach. Dziś czuję się człowiekiem chyba najbardziej w swoim życiu wolnym. Bez żadnej presji, przymusu czy jakiegokolwiek konieczności.

Dziś czuję się człowiekiem chyba najbardziej w swoim życiu wolnym. Bez żadnej presji, przymusu czy jakiegokolwiek konieczności.



Fot. Zarchiwum E. Hulewicza

Upiór współczesności

Napisy na ścianie jak w telewizyjnych wiadomościach, reporterka z kamerą relacjonuje wydarzenia, Alina i Balladyna w kaszubskich strojach, Wdowa jak niechlujna, rozczochrana wiejska baba, księżę Kirkor w starym bmw wjeżdża na scenę, gromadzie wieśniaków w gumiakach przewodzi ksiądz, a Balladyna wyśpiewuje na obracanej kanapie jak klubowa gwiazda.

ALINA KIETRYS

„Balladyna” Juliusza Słowackiego w Gdyni, w reżyserii Jacka Bała, miała być współczesną, newsową opowieścią o walce dobra ze złem, o okrutnych morderstwach, o odrzuceniu matki i o emocjach, które wyzwala żądza władzy. Miała też pokazać fantastyczny świat Goplany, jej igranie ludzkimi losami i piastowskie korzenie Pustelnika – króla Popiela. Uwspółcześnienie Słowackiego to zadanie ambitne, wiedział o tym dobrze już ponad czterdzieści lat temu Adam Hanuszkiewicz. Jacek Bała w Gdyni próbuje zmierzyć się z legendą i, niestety, ponosi klęskę. Wikła się w stereotypy i mało pomysłowe teatralne tropy. Drażni w jego spektaklu niby wieśniactwo w gumiakach, pijackie wesele Balladyny z marychą i wódą, drażni nowobogacki Kirkor w swoim zdezelowanym bmw. Klimat wiejski ni to z „Konopielki” Redlińskiego, ni to z filmowego „Wesela” Smarzowskiego, a samochód na scenie to nie to samo, co hondy Hanuszkiewicza. Gdyniska „Balladyna” jest niczym komiks literacki w dramatycznej formie: scena po scenie w obrazkach, brakuje płynnej narracji. Łamię ten układ kilka scen z Dorotą Lułką (Wdową), matką odrzuconą, którą zgubiła ufność do okrutnej córki. To najlepsza rola w tym spektaklu. Ciekawie też pomyślana została postać von Kostryna w interpretacji Piotra Michalskiego. To Kostryń wielowymiarowy, przebiegły i żądny zaszczytów, służalczy przyjaciel Kirkora, a potem zdrajca i kochanek jego żony. Również

Grzegorz Wolf jako Grabiec zwraca uwagę. Nic dziwnego, że kocha się w nim i Goplana w interpretacji Moniki Babickiej. Goplana nie jest wiedźmą ani panią na Gople (za wiele ruchowej ekspresji, w której gubi się tekst), jest natomiast zjawiskowa w dość ryzykownym, obcisłym kostiumie. To jeden z nielicznych jasnych akcentów scenografii Karoliny Mazur. Nie wsparła ona tej koncepcji „Balladyny”. Raczej uznała, że pospolite też może być „piękne”. A fantastyka pozbawiona finezji lokuje Skierkę i Chochlika w randze przebierańców z muppet show. Przestrzeń sceniczną udaje las nad Gopłem, dzięki rozwieszanej w tyle sceny siatce utkanej sztucznymi roślinami, chata Wdowy to przaśne meble, a zamek Kirkora – „wytworna” kanapa. Reżyser zachował wiersz Słowackiego tylko odrobinę go modyfikując, ale to nie pomogło „Balladynie”. W tytułowej roli w tym spektaklu Agnieszka Bała, żona reżysera. To częsty zwyczaj obsadowy, ale tym razem chybiony. Ta Balladyna niby jest, bo miota się po scenie, wyśpiewuje (muzyka – dzieło reżysera – w nadmiarze przesycą warstwę słowną), wykrzykuje i udaje, że walczy o władzę, ale trudno w niej odnaleźć cechy wpisane w tę postać przez Słowackiego. Przemiana z wiejskiej dziewczyny we władczą i okrutną panią na zamku jest pozor-na.

Balladyna, morderczyni naiwnej i dobrej siostry Aliny (niezła rola Agaty Moszumańskiej), współodpowiedzialna jest za śmierć męża – księcia Kirkora, matki i von Kostryna. Reżyser, uwspółcześniając dramat Słowackiego, wyeksponował wątek „awansu społecznego” – z wiejskiej chaty na salony, wyśmiał wiejską gromadę w gumiakach, której przewodzi ksiądz, ale stereotyp opanował mu wyobraźnię i tak też ustawił postać Kirkora. Szymon Sędrowski jest w tym spektaklu mało władczym, znikającym facetem z kasą i furą. To jemu Pustelnik (zauważalny Dariusz Szymaniak) – piastowski Popiel III podpowie wybór na żonę panny z ludu. Wątek piastowski miał być atutem tego spektaklu, ale gdzieś się zapodział mimo ważnego rekwizytu – korony.

Jacek Bała wyreżyserował w ubiegłym roku w Teatrze Miejskim w Gdyni „Amadeusza”, dobre i intrygujące przedstawienie. „Balladyna” nie dorównuje tamtemu spektaklowi. Szkoda.



Fot. Teatr Miejski w Gdyni

Sztuka ponad podziałami, kultura porozumienia

14 września 2017 r. w Rathaus-Galerie Reinickendorf w Berlinie odbędzie się gala otwarcia WYSTAWY POLSKIEJ SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ. Organizatorami są Bezirksamt Reinickendorf von Berlin i Stowarzyszenie Promocji Artystów Wybrzeża ERA ART z Gdyni. Wystawa będzie eksponowana do 10 grudnia 2017 r.

EWA GRUNERT

Zaprezentowanie w stolicy Niemiec wyjątkowych dzieł nowoczesnej sztuki polskiej będzie szczególnym wydarzeniem artystycznym. Nieczęsto zdarza się pokazanie kilku dziedzin sztuki, w tym najnowszej – grafiki cyfrowej, w tym samym miejscu i czasie. Na wystawie polscy artyści pokażą malarstwo, tkaninę unikatową, grafikę warsztatową i grafikę cyfrową. Będą to prace przedstawiające nie tylko najnowsze nurty polskiej sztuki współczesnej, lecz także indywidualność artystów oraz ich różnorodność

je sztukę w Europie. – powiedziała Ewa Gołębiowska, prezes ERA ART. *– Udział tak wielu artystów w wystawie berlińskiej świadczy o potrzebie organizowania takich spotkań, których przesłaniem jest łączenie się ponad podziałami i promowanie kultury porozumienia.*

Stowarzyszenie organizuje również duże międzynarodowe wystawy w Polsce, na które zaprasza

Nasza wystawa zaliczana jest do największych i najbardziej prestiżowych wydarzeń w artystycznym życiu berlińczyków, którzy znają się na sztuce i potrafią docenić poziom prac. Niemcy są otwarci na różnorodność i innowacyjność.



styl. Ta duża wystawa plastyczna przyciągnie zarówno polskich artystów mieszkających w Niemczech, jak i wszystkich miłośników sztuki z Niemiec i z Polski i odbije się echem w całej Europie.

– Berliński współorganizator wystawy słynie z popularyzowania polskiej kultury we wszystkich jej aspektach – podkreśla Bernadeta Wdzięczna, kurator wystawy. Nasza wystawa zaliczana jest do największych i najbardziej prestiżowych wydarzeń w artystycznym życiu berlińczyków, którzy znają się na sztuce i potrafią docenić poziom prac. Niemcy są otwarci na różnorodność i innowacyjność.

– Pokaz dorobku polskich artystów w Berlinie uważamy za sukces naszego stowarzyszenia, które promu-

artystów nie tylko z Europy, np. 5. Międzynarodowe Biennale Grafiki Cyfrowej w Centrum Designu w Gdyni, czy trwająca obecnie w Muzeum Narodowym w Gdańsku – Oddział Sztuki Nowoczesnej w Pałacu Opatów – Międzynarodowa Wystawa Malarstwa i Tkaniny Artystycznej EKO-MATERIA.

Patronat nad polską wystawą w Berlinie objęli Anna Mieczkowska, członek zarządu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego, oraz Mieczysław Struk, marszałek Województwa Pomorskiego.



MIECZYŚLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



Stowarzyszenie
Promocji
Artystów
Wybrzeża



PATRONAT HONOROWY
MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA
ZACHODNIOPOMORSKIEGO
OLGIERDA GEBLEWICZA

Władza pań bileterek w gdyńskim Teatrze Muzycznym jest nieograniczona

W teatrach całego świata, od Metropolitan Opera, poprzez La Scala, a na warszawskim Teatrze Wielkim kończąc, przy wejściu, widza pozdrawiają elegancko ubrani bileterzy, którzy ciepłym „dobry wieczór, witamy w naszym teatrze” zachęcają do spędzenia czasu w teatrze. Tak jest wszędzie, tylko nie w Teatrze Muzycznym w Gdyni, gdzie bileterki zdecydowanym tonem żądają dokumentu (na jakiej podstawie prawnej?) potwierdzającego kupno biletu ulgowego.

EWA GRUNERT

Gdy zaskoczony widz nie posiada odpowiedniej legitymacji lub dowodu osobistego, panie nie chcą wpuścić takiego intruza do teatru. Nie pomagają wyjaśnienia, że kobieta zwłaszcza, w małej, wieczorowej torebce nie musi mieć żadnego dokumentu – panie bileterki trwają w swoim uporze. Przed drzwiami rośnie kolejka, bo zaskoczeni widzowie gorączkowo przeszukują kieszenie (w wypadku panów) lub wywracają torebki – w przypadku pań, niekiedy bezskutecznie, bo stosownego dokumentu po prostu nie mają. Przyszli do TEATRU, a nie do urzędu skarbowego. Bileterki niekiedy stosują też selekcję „na oko”, czyli od pani żądają dokumentu, a od pana – nie. Panie się obrażają, bo wyglądają tym samym starszej od panów.

Jeśli jednak widz żadnego dokumentu przy sobie nie ma, to kierowany jest rygorystycznie do kasy, gdzie potulnie tłumaczy się, tym razem kasjerce, dlaczego kupił ulgowy bilet. Z kolei pani kasjerka żąda podania imienia i nazwiska i pod karą niewpuszczenia na spektakl nakazuje dostarczenie stosownego dokumentu potwierdzającego prawo do zniżki w terminie 48 godz.

W Teatrze Muzycznym w holu przy szatni nie ma żadnych kanapek do położenia ubrań. Można nakręcić fajne filmiki sytuacyjne, kiedy widzowie próbują w locie uporać się z nałożeniem ubrań. Kanapy stoją na pierwszym piętrze, słusznie zresztą, bo kto siedział przez 1,5 godziny na I akcie, chętnie usiądzie również na przerwie.

Indagowany w tej sprawie, departament Kultury Urzędu Marszałkowskiego odparł, że bileterki mają rację, że podobne uprawnienia obowiązują w innych teatrach, np. warszawskich, a co do ławeczek służących do położenia ubrań – to nie mogą być umieszczone, ponieważ na parterze jest uster-

ka architektoniczna i owe ławeczki zastawiałyby wyjścia bezpieczeństwa.

Otóż w żadnym teatrze warszawskim na przestrzeni dziejów, od czołowego kabaretu literackiego Qui Pro Quo poczynając, gdzie były nie tylko bilety, lecz także słynne „karteczki”, żaden BILETER nie żądał dokumentu uprawniającego widza do posługiwania się takim właśnie „biletem”. Owe „karteczki”, rozdawane przez kasjerki, bileterki, pracowników technicznych w zamian za zniżki w magazynach mody doprowadziły w końcu do bankructwa teatru, ale to temat na zupełnie inne opowiadanie. W tamtych latach stanowiły o prestiżu osoby, która wchodziła na nie do teatru.

Teatry na europejskim poziomie widza traktują jak przyjaciela i GOŚCIA, który skoro zostawia swoje pieniądze i poświęca swój czas na wizytę w danym teatrze, to w zamian oczekuje miłego i przyjacielskiego powitania, a nie, a nie stanowczego kontrolera, zakładającego na wejściu, że przybysz może być oszustem i chce narazić teatr na kilkuzłotowy uszczerbek w kasie. Zwyczajnie Teatru Muzycznego z góry zakładają, że widz to nasz nieprzyjaciół i już od wejścia trzeba takie indywiduum sprowadzić do parteru, żądając kwitów potwierdzających wartość nabytego biletu. A może tak więcej zaufania do ludzi, którzy przychodzą do teatru?!

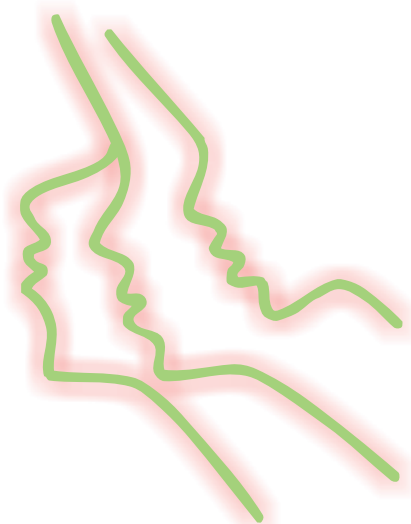
Co do ławeczek – jeśli to prawda, co wyjaśnia Departament Kultury, że jest to usterka architektoniczna, to może należy ją usunąć, albo chociaż otoczyć siedziskami kolumny, a nie zmuszać gości teatru do ekwilibrystyki przy zakładaniu ubrań.

Słowem – hasłem Teatru Muzycznego powinno być: witamy miłych gości! – zamiast rozkazu: dokumenty do kontroli proszę!

Stowarzyszenie Promocji Artystów Wybrzeża ERA ART
zaprasza na wystawy i wydarzenia do lokalu artystycznego



Gdynia, Abrahama 86, wejście od Władysława IV
telefon: 58 622 33 11



galeria PROFILE w Gdyni
Wojewódzka 7 - Wzgórze Świętego Maksymiliana
godziny otwarcia: 12.00 - 18.00

wystawy, sprzedaż dzieł sztuki
telefon: 58 622 33 11
696 023 935
www.eraartprofile.pl

polska sztuka współczesna

14.09. – 10.12.2017 r.
Rathaus-Galerie Reinickendorf
Berlin